

Osiem lat w akademickim świecie. Od dumy do rozczarowania

Moje prace dodatkowe i warte wspomnienia wakacje

[Fragment]

[...]

Wakacje 1983 roku – dwutygodniowy staż w Ośrodku MONAR w Głoskowie

Opowieść o tym, znaczącym w mojej drodze nabywania nowych kompetencji do działalności prelegentkiej w TWP, wydarzeniu muszę zacząć od opisu sytuacji, która ten staż umożliwiła.

Aby po raz kolejny wykazać, że ważne są nasze dobre relacje z młodości, które po latach procentują wydarzeniami, które bez owych relacji nigdy by się nie wydarzyły, muszę przypomnieć moją znajomość z Lili Madalińską, która była – wówczas w roli namiestniczki zuchów Hufca ZHP Łódź-Polesie – komendantką owego obozu szkoleniowego w Harkabuzie, na którym ja prowadziłem kurs dla kandydatów na drużynowych zuchów. To po jej rezygnacji z funkcji namiestnika – ja zostałem namiestnikiem zuchów na Polesiu. Później nasze drogi rozeszły się, aż do owego 1983 roku. Lilka pracowała wtedy w łódzkim Kuratorium Oświaty i Wychowania jako wizytator-metodyk – z zakresem obowiązków „profilaktyka niedostosowania społecznego dzieci i młodzieży”.

Przypominam, że był to czas, kiedy ja szukałem dla siebie miejsca po rezygnacji z pracy na UŁ. Bez wchodzenia w szczegóły powiem teraz jedynie, że byłem przymierzany na drugi, analogiczny etat, z tym samym zakresem obowiązków. I to dlatego zostałem zaproszony na spotkanie pedagogów szkolnych z Markiem Kotańskim, które Madalińska, z ramienia ŁKOiW, zorganizowało w sali widowiskowej Pałacu Młodzieży. Marek Kotański przyjechał wtedy do Łodzi aby zakładać łódzki oddział MONAR, a owo spotkanie odbyło się niejako „przy okazji” jego wizyty w naszym mieście. Po spotkaniu z nauczycielami Madalińska zaprosiła go na obiad do restauracji w pobliskim Hotelu „Sawoy”, a mnie zaproponowała, abym im towarzyszył. Nie omieszkałem z tej okazji poznania „legendarnego” Kotana skorzystać.

I to wtedy zawarłem – od razu w wersji „na ty” – znajomość z Markiem. Podczas obiadowej konwersacji zwierzyłem mu się, że jestem bardzo zainteresowany działalnością Stowarzyszenia MONAR, a zwłaszcza metodą, stosowaną w ośrodku w Głoskowie, bo jestem po lekturze książki Kazimierza Jankowskiego „Mój Śambhala”, w której opisana jest metoda o nazwie SYNANON.

Jak to zwykle u Kotańskiego – jego reakcja była spontaniczna: „Oczywiście – ustalę tylko z

kierownikiem ośrodka i dam ci znać kiedy mógłbyś tam przyjechać”. Wymieniliśmy telefony, a po kilku tygodniach już wszystko było ustalone. Poczta otrzymałem pisemne zaproszenie do Głuskowa – z pieczęciami Stowarzyszenia MONAR i podpisem Kotańskiego. I tak w pierwszej połowie sierpnia 1983 roku wysiadłem z autobusu PKS we wsi Głusków i dopytawszy się o drogę – dotarłem pieszo, z plecakiem, do siedziby Ośrodka.

Miałem jeszcze do przejścia kilkadziesiąt metrów, aby stanąć pod wejściem do owego dworku, gdy wyszło mi naprzeciw dwóch młodych ludzi, i w tonie nieznoszącym sprzeciwu zostałem przez nich zatrzymany i poproszony o wyjaśnienie kto ja jestem i w jakim celu tu się znalazłem. Gdy pokazałem im owo pisemne zaproszenie z podpisem Kotańskiego, zaczęli ze mną rozmawiać mniej „milicyjnie”, ale zostałem poproszony o pokazanie dowodu osobistego. Gdy już potwierdziłem moją tożsamość, zażądali abym poddał się rewizji i pokazał co mam w plecaku. Wyjaśnili, że takie zasady obowiązują w Ośrodku, że oni są ze „Straży Ochrony MONARU” i że ich obowiązkiem jest, każdego bez wyjątku przybywającego spoza Ośrodka sprawdzić, czy nie przemycą narkotyków i alkoholu.

Była to pora poobiednia. Po rewizji zaprowadzili mnie do pokoju kierownika ośrodka, któremu musiałem od początku opowiedzieć kto ja jestem i po co tu przyjechałem i okazać owo zaproszenie od Kotańskiego. Wysłuchawszy, powiedział mi, że on nie ma uprawnień aby pozwolić mi na ten pobyt, że zaproszenie od Marka to tylko potwierdzenie moich informacji, natomiast jedyną władzą, która może mi zezwolić na ów dwutygodniowy pobyt jest zbiorowa decyzja całej społeczności Ośrodka.

Musiałem poczekać do wieczora. W tym czasie przebywałem w pokoju kierownika, zostałem także zaproszony, w jego towarzystwie, na kolację. I dopiero wtedy poszliśmy do dużego pomieszczenia, w którym odbywały się wieczorne spotkania wszystkich mieszkańców Ośrodka, zwane „społecznościami”

Po bardzo długiej serii pytań zadawanych mi przez „pacjentów”, o to kim jestem, gdzie pracuję, a przede wszystkim o motywy mojego tam pobytu, przystąpiono do głosowania decyzji w mojej sprawie. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba jednogłośnie, zapadła decyzja, że mogę pozostać. Ale na twardych warunkach: będę, jak wszyscy nowicjusze – zamiast mojego ubrania – nosił przydzielony drelich, będę żył tak jakbym był pacjentem, to znaczy że będę chodził jak inni, do pracy, że na równych prawach, ale i obowiązkach, będę uczestniczył w życiu społeczności. Jedyną różnicą będzie zezwolenie, abym nie został ostrzyżony „na zero”.

Więcej o zasadach według których działał ośrodek w Głoskowie i wszystkie powstałe później ośrodki monarowskie – TUTAJ

Nie wchodząc w szczegóły powiem jedynie, że te dwa tygodnie były dla mnie niezastąpionym źródłem wiedzy nie tylko o metodzie MONAR-u, ale przede wszystkim, dzięki codziennym, koleżeńskim rozmowom, głównie podczas wspólnie wykonywanych prac (np., na polu przy wykopie ziemniaków, w chlewni przy karmieniu i „oporządzaniu” świń) – dowiedziałem się „z pierwszej ręki” o okolicznościach ich „pierwszego razu”, o mechanizmie wchodzenia w uzależnienie, o problemach społecznych osoby już uzależnionej.. I o tym co zdecydowało, że postanowili, dobrowolnie, poddać się reżimowi systemu MONAR...

I to był, na długo, fundament mojej wiedzy o narkomanii, na bazie której przez wiele kolejnych lat budowałem scenariusze moich profilaktycznych pogadanek: w starszych klasach podstawówek oraz w szkołach zawodowych i ogólniakach.

[...]

Źródło: <http://obserwatoriumedukacji.pl/esej-wspomnieniowy-cz-iv-6-moje-prace-dodatkowe-i-warte-wspomnienia-wakacje/>